

III RP – próba bilansu

Jakub Majmurek, Piotr Szumlewicz

Mija dwudziestolecie zmiany ustrojowej. Przechodzimy od jednej rocznicy (Okrągły Stół) ku następnym („pierwsze wolne wybory”). W polskiej debacie publicznej pojawiają się powoli podsumowania i rozliczenia ostatnich dwudziestu lat. Książka ta będzie jednym z takich podsumowań, ale jednocześnie propozycją spojrzenia na ten okres z nieco odmiennej perspektywy od dominującej. Będzie to próba krytycznej oceny polskiej transformacji. Autorzy nie są zainteresowani powtarzaniem, jak wielkie szczęście Polskę spotkało w 1989 r. i latach następnych; jak to wspaniale, że mamy w końcu demokrację, pluralistyczne społeczeństwo, racjonalnie urządzoną gospodarkę i że jesteśmy częścią „zjednoczonej Europy”. I choć bardzo cenimy demokrację i projekt europejski, to uważamy, że współczesna Polska nie dostarcza powodów do zachwytów. Sądzymy, że rocznica dwudziestu lat polskiej transformacji powinna być próbą krytycznego przyjrzenia się temu, jak naprawdę działa polska demokracja, o jakim stopniu pluralizmu możemy w niej mówić, czy polska gospodarka funkcjonuje właściwie.

Uznaliśmy, że spory w łonie obozu postsolidarnościowego, jak i jego konflikty z obozem postkomunistycznym, nie powinny być kryterium oceny ostatnich lat. Jedyną miarą oceny minionego dwudziestolecia powinno być to, na ile dzisiejsza Polska spełnia obietnice, pod jakimi powstawała; obietnice demokracji, poszanowania podstawowych praw jednostki i powszechnego dobrobytu. Ta ocena powinna uwzględniać kontekst, w jakim przyszło nam uprawiać politykę po 1989 r. Wiadomo, że trudno porównywać Polskę ze Szwecją czy Francją, ale można z innymi krajami naszego regionu. A na ich tle polska demokracja, polskie państwo i jego instytucje wypadają kiepsko. I jest to wina całej polskiej klasy politycznej, która w większości przypadków tam gdzie miała wybór, wybierała źle.

Zacznijmy od początku. W 1989 r. Bank Światowy przedstawia Polsce trzy plany reformy polskiej gospodarki. Pierwszy jest najbardziej łagodny, zakłada stopniowe przejście do gospodarki rynkowej, rozkłada społeczne koszty transformacji etc. Drugi jest dla nas cięższy, ale także wydaje się do przyjęcia. Trzeci, opracowany przez Jeffreya Sachsa, oparty na ideach neoliberalnych, zakłada „terapię szokową”. Ku zdziwieniu samych ekspertów BŚ, którzy plan Sachsa dorzucili w zasadzie głównie po to, by zmiękczyć stronę polską i skłonić ją do przyjęcia drugiego, a nie pierwszego wariantu, Polska wybrała propozycję Sachsa. Kluczową decyzję podjął tu Leszek Balcerowicz, ale przyjęcie jego planu poparł cały rząd Tadeusza Mazowieckiego, w tym Jacek Kuroń. W późniejszych latach będzie on jednym z niewielu, który zauważył dramatyczne skutki polskiej transformacji. Tzw. plan Balcerowicza okazał się jednym z najbardziej przestrzelonych planów ekonomicznych we współczesnej historii świata. Jak wylicza Tadeusz Kowalik: „Zakładano 3% spadek PKB, 5% spadek produkcji przemysłowej, 400-tysięczne bezrobocie. Rezultaty zaś okazały się pięciosześciokrotnie większe. W ciągu dwóch lat dochód narodowy spadł niemal o jedną piątą, a produkcja przemysłowa o 25%, co oznaczało poważną dezindustrializację najmocniej uderzającą w miasta, których egzystencja opierała się na jednej fabryce, jak np. Nowa Huta. Również uderzenie w dochody płacobiorców i chłopów okazało się niezwykle drastyczne: płace realne spadły o 36%, a dochody rolników o połowę. Dotyczy to także bezrobocia, zwłaszcza jeśli doliczy się do niego wcześniejszych emerytów i niezbyt chorych rencistów. Cel inflacyjny – sprowadzenie inflacji pod koniec 1990 r. do poziomu jednocyfrowego osiągnięto dopiero dziewięć lat później”.

Nieliczni ekonomiści, którzy uwzględniają te dane, sugerują, że mimo znacznego spadku praktycznie wszystkich wskaźników gospodarczych i socjalnych, władza musiała podjąć trudne decyzje po to, aby w dłuższej perspektywie Polska weszła na szybką i stabilną drogę rozwoju. W książce staramy się pokazać, że w ostatnich latach wiele problemów społecznych nie tylko nie zostało rozwiązanych, ale wręcz doszło do ich eskalacji. Bieda, rozwarstwienie, blokady

w możliwościach awansu społecznego olbrzymich grup ludności nie są jedynie pozostałościami po pierwszej fazie transformacji, lecz zjawiskami trwale wpisanymi w polski model modernizacji. Pomimo wysokiego wzrostu PKB w ostatnich latach, w Polsce wciąż bardzo wielu ludzi żyje poniżej minimum socjalnego i egzystencjalnego, utrzymuje się wysoki wskaźnik długoterminowego bezrobocia, a jakość edukacji i służby zdrowia pozostaje na bardzo niskim poziomie. Radykalna pauperyzacja społeczeństwa, połączona z destrukcją znacznej części infrastruktury kulturalnej, ograniczyła uczestnictwo społeczeństwa w aktywności kulturalnej i obywatelskiej. Od 1989 r. zlikwidowano tysiące bibliotek i punktów bibliotecznych. Coraz mniej osób czyta książki. Wyraźnie spadła też zarówno liczba tytułów, jak i nakłady wydawanej prasy codziennej. W porównaniu z latami 80. zmniejszyła się liczba ludzi chodzących do kina, teatru czy filharmonii. Bardzo niewielki odsetek Polaków należy też do organizacji pozarządowych. Ludzie nie angażują się w działalność publiczną i nie walczą o swoje interesy. Bierność i apatia społeczna stały się trwałym elementem polskiej rzeczywistości. Jednocześnie przedstawiciele największych partii wciąż wygłaszają pochwały na cześć indywidualnej przedsiębiorczości i „brania spraw we własne ręce”. W ten sposób doszło do prywatyzacji wszelkich problemów społecznych. Systemowe rozwiązania zwalczania ubóstwa czy bezrobocia są dezawuowane jako relikty byłego ustroju, a skokowy wzrost przestępczości czy samobójstw traktuje się wyłącznie jako konieczny koszt „wolności”. Również bieda stanowi w tym ujęciu konsekwencję błędnych decyzji podejmowanych przez w pełni suwerenne jednostki. W tej retoryce nie ma już uzasadnienia dla powszechnych świadczeń publicznych i nic się nikomu nie należy z racji obywatelstwa – sami jesteśmy odpowiedzialni za całość swojego życia. Gigantyczne różnice w dochodach i rosnąca przepaść między bogatymi i biednymi pokazuje tylko zróżnicowanie ludzkich charakterów i osobowości. Nowy porządek ma swoich zwycięzców i przegranych, tryumfatorów i tych, którzy mieli pecha. Na zwycięzców czeka bogactwo, wpływy i prestiż społeczny. Biedni zostają pozostawieni sami sobie, bez szacunku, komfortu i możliwości wpływu na otoczenie. Pozostaje im tylko liczyć na łaskę beneficjentów nowego ładu. Dlatego też w miejsce państwa mają wkroczyć instytucje dobroczynne. Spektakl akcji charytatywnych ma wypełniać lukę, która powstała po likwidacji opiekuńczych funkcji państwa. Zarazem ma on konserwować istniejący ład społeczny i łagodzić ewentualne głosy sprzeciwu.

Podstawową metodą budowy kapitalizmu, jaką przyjęły w zasadzie wszystkie ekipy po 1989 r., był planowy transfer dochodów z rąk grup uboższych do najzamożniejszych. Polskie elity uznały, że duże nierówności społeczne są konieczne dla rozwoju ekonomicznego i zbudowania w Polsce gospodarki wolnorynkowej. Zupełnie zignorowano doświadczenia Finlandii czy krajów azjatyckich, w których modernizacja gospodarcza (w Finlandii – dziś we wszystkich prawie wskaźnikach wypadającej lepiej od Stanów Zjednoczonych – dokonana w okresie niecałego pokolenia!) nie tylko nie wiązała się ze zwiększaniem społecznych nierówności, ale wręcz przeciwnie; egalitarna struktura społeczna była jednym z celów i zasobów ekonomicznej modernizacji. W efekcie decyzji co do modelu kapitalizmu, przyjętych na początku transformacji, Polska jest dziś krajem bardzo nierównym ekonomicznie. Wskaźnik Giniego (mierzący rozpiętość dochodów przed opodatkowaniem) należy w dzisiejszej Polsce do najwyższych w Unii Europejskiej. Płace menadżerów należą u nas do ścisłej unijnej czołówki, a z kolei zarobki nauczycieli do najmniejszych w UE. Wszystko to jest konsekwencją modelu kapitalizmu, jaki przyjęły solidarnościowe rządy po przełomie 1989 r. Solidarnościowe elity miały w tym pełne poparcie postkomunistów, polska transformacja nie zaczyna się tak naprawdę od Balcerowicza, ale od ministra Wilczka, którego z najwyższym uznaniem wspominają dziś najbardziej nawet zagorzali UPR-owcy. Tego modelu nikt, żadna licząca się siła polityczna, nie miał odwagi zakwestionować. Każdy, kto próbował (od Grzegorza Kołodki w jego pierwszej kadencji, przez Ryszarda Bugaję po Piotra Ikonowicza), był natychmiast spychany do niszy dla populistów, lewaków, ekonomicznych ignorantów, pogrążonych w nostalgii za „komuną” wrogów gospodarki rynkowej.

Tymczasem modeli kapitalizmu jest wiele, szwedzki znacznie różni się od anglosaskiego, a ten

od niemieckiego. Polska wybrała najgorzej jak mogła. Postawiliśmy na kapitalizm oparty na dużych nierównościach społecznych, małej obecności państwa w gospodarce, słabej pozycji zorganizowanego świata pracy. W Polsce wykształciła się typowa dla gospodarek peryferyjnego kapitalizmu gospodarka niskich płac. Widać wyraźnie, że im bardziej rozwinięta gospodarka, tym większy w niej udział płac w PKB. W Europie Zachodniej wynosi średnio blisko 60%, w Polsce nie przekracza 40% i należy do najniższych w UE. Tak niskie płace jak też relatywnie małe wydatki socjalne nie tylko przyczyniają się do społecznych nierówności, ale stanowią także barierę dla racjonalnego rozwoju ekonomicznego.

Trudno się jednak dziwić takim wskaźnikom, jeżeli w ojczyźnie „Solidarności” (bądź co bądź walczącej o wolne związki zawodowe) uzwiązkowienie w sektorze prywatnym jest bliskie zeru, a prawo pracowników do zrzeszania się jest ciągle łamane. Jak szczegółowo dokumentuje monumentalna, czterotomowa praca Jacka Tittenbruna, prywatyzacja – dokonywana w oparciu o ideologiczne przekonanie o tym, że własność prywatna zawsze jest lepsza od państwowej – przyniosła więcej ekonomicznych strat niż było to konieczne, często wiązała się z mechanizmami korupcyjnymi, przyczyniła się do pogłębienia rozwarstwienia społecznego i rozbicia zorganizowanego świata pracy. Procesy prywatyzacji i deregulacji obejmują coraz więcej wymiarów życia społecznego. Obecnie dotyczą one już nie tylko sektora produkcji. W 1999 r. został zapoczątkowany proces prywatyzacji systemu ubezpieczeń emerytalnych. Wzoru dla niego politycy rządzącej wówczas koalicji nie szukali w żadnym europejskim kraju, w którym wiele lat politycznych walk ucywilizowało kapitalizm, ale w pinochetowskim Chile. Po tym jak generał Pinochet rozprawił się z wszelką opozycją, ekonomiści amerykańscy popierani przez rządzącą juntę mieli tam swobodę eksperymentowania na społeczeństwie (co symptomatyczne, rządząca wówczas w Chile armia była jedyną grupą, której eksperyment nie objął, pozostała przy starym systemie emerytur). Gdy polska prawica przenosiła nad Wisłę wzorce spod Andów, było już wiadomo w samym Chile, że system zaproponowany przez Chicago Boys nie działa. Wiemy to także dziś. OFE okazały się zupełną klęską, oddanie emerytur rynkowi uderzy w dochody większości emerytów, a sytuacja osób wkrótce przechodzących na emeryturę będzie dużo gorsza od tych, którzy cieszyli się emeryturą w starym systemie. Mimo to polscy politycy upierają się, aby na podobnej zasadzie, co ubezpieczenia emerytalne, prywatyzować placówki zdrowotne i szkoły. Kolejne rządy rezygnują z odpowiedzialności państwa za jakość życia obywateli. Polska jest też jedynym z byłych krajów realnego socjalizmu, który prawie w całości oddał w ręce kapitału zagranicznego tak strategiczny dla gospodarki sektor jak bankowość. Taki model prywatyzacji wcale nie był konieczny, co pokazują doświadczenia innych krajów regionu. W Słowenii, najbogatszym kraju „nowej Europy”, prywatyzacja dokonywała się na małą skalę. Droga reform takich krajów jak Słowenia czy Czechy pokazuje, że inny model ekonomicznej transformacji, bardziej socjalny, nie łączący się z masową dezindustrializacją i bezrobociem był możliwy.

Wszystkie te zjawiska składają się na neoliberalną drogę, którą przyjęła Polska w 1989 r. Skutki tego tragicznego eksperymentu opisuje w swoim tekście Grzegorz Konat. Jego zdaniem negatywne skutki transformacji takie jak wzrost bezrobocia, ubóstwa czy rozwarstwienia nie były kwestią przypadku ani nawet nieprzewidywalnych niepowodzeń, ale wynikały z błędnego zdefiniowania przez rządzących podstawowych celów i środków polityki gospodarczej.

Może zadziwiać, jak łatwo Polacy zgodzili się na ten nowy model rzeczywistości. Zamiast protestować przeciwko niesprawiedliwym rozwiązaniom, większość społeczeństwa prędko pogodziła się z wymaganiami neoliberalnego ładu. Po 1989 r. zablokowano jakąkolwiek dyskusję nad modelem gospodarki, ku jakiemu mamy dążyć, nad tym, jak powinny układać się relacje między państwem, rynkiem a społeczeństwem. Neoliberalizm zyskał absolutną ideologiczną hegemonię, stał się jedynym źródłem gospodarczej racjonalności. Było (i jest, bo neoliberalna hegemonia ciągle trwa) to szkodliwe nie tylko dla polskiej gospodarki, ale także dla demokracji. Spod demokratycznej debaty wyjęte zostały najważniejsze kwestie, dotyczące

najbardziej istotnych spraw bytowych wszystkich Polek i Polaków. Każda forma wyrażania kolektywnego niezadowolenia z kształtu polityki ekonomicznej była notorycznie wyrzucana poza nawias racjonalnej debaty publicznej. Na kogo Polacy by nie głosowali, i tak dostawali tę samą politykę ekonomiczną. Nic dziwnego, że konsekwentnie odwracali się od polityki (do ostatnich wyborów frekwencja regularnie spadała i jest dużo niższa niż w takich europejskich demokracjach jak francuska czy hiszpańska).

Zgodnie z dominującą ideologią, nie ma podmiotów odpowiedzialnych za masowe zwolnienia, niskie płace czy komercjalizację kolejnych usług. Jeżeli wskazuje się winnych, są nimi Żydzi, geje lub agenci. Władze polityczne i ekonomiczne pozostają nietknięte i skutecznie zagospodarowują niezadowolenie uboższych warstw społecznych wrogością wobec innych dyskryminowanych grup. O tym, w jaki sposób dyskurs dominujący przenika do świadomości społecznej i umacnia istniejący ład, piszą w swoich tekstach Jakub Majmurek i Tomasz Żukowski.

Jednym z ważnych elementów, przyczyniających się do hegemonii prawicy w Polsce jest kształt polskiej edukacji. Na temat zmian w systemie kształcenia po 1989 r. pisze w swoim tekście Piotr Szumlewicz. Wskazuje on, że w ostatnich latach coraz większą rolę w edukacji szkolnej odgrywają placówki prywatne. Jest to zarazem jeden z czynników, który przyczynia się do narastania procesów segregacji w szkołach. Inny ważny element kształcenia po 1989 r. to radykalny zwrot ku konserwatywnym treściom w nauczaniu przedmiotów humanistycznych. Tradycyjny model rodziny czy seksualności jest obecnie wpisany w podstawy programowe na wszystkich etapach kształcenia, a religia na trwałe zadomowiła się w polskich szkołach. Wreszcie istotnym elementem reformy edukacji była, na szczęście nie w pełni udana, próba likwidacji kształcenia zawodowego, przeprowadzana zupełnie wbrew wymaganiom polskiego rynku pracy. O ile dobrze znający swój fach ślusarze czy dekarze są dziś na rynku pracy na wagę złota, to absolwenci liceów, a nawet wyższych studiów, którzy opuszczają szkoły z maturą ledwo co zaliczoną na poziomie podstawowym, mają na rynku pracy o wiele słabszą pozycję niż gdyby solidnie wyuczyli się murarstwa czy hydrauliki. Kompetencje, które kiedyś można było nabyć w bezpłatnych szkołach zawodowych, dziś dostępne są głównie w prywatnych, płatnych szkołach policealnych.

Inny ważny wymiar kształtujący i podtrzymujący neoliberalno-konserwatywne *status quo* stanowi religia. Kościół katolicki jest jednym z głównych podmiotów tworzących polską rzeczywistość po 1989 r. Z jednej strony kler ma olbrzymi wpływ na funkcjonowanie większości ważnych wymiarów życia społecznego, a z drugiej wykorzystuje on swoją pozycję do czerpania wymiernych korzyści materialnych. Kościół, wraz z elitami biznesu i elitami władzy politycznej, tworzy swoistą komisję trójstronną, która na zasadzie wzajemnego poszanowania i dialogu podejmuje wiążące decyzje odnośnie wszelkich obszarów aktywności społecznej. Religia neutralizuje konflikty, zaciera stosunki władzy i legitymizuje panujące relacje, rozmywając wszelkie różnice w niewinnej sielance powszechnej miłości. Polskiemu kościołowi udało się zaszczerpić w sercach wiernych wyobrażenie miłosiernego Boga i płynącej od niego dobroci. To dlatego zwolnieni z pracy albo oszukani przez pracodawców Polacy nie wychodzą na ulicę, aby walczyć o swoje prawa, pokornie znoszą okrutny wyzysk i poniżenie, nie sprzeciwiają się łamaniu ich podstawowych praw i arbitralnej władzy wyobcowanych elit.

Reformy po 1989 r. dokonywane były często nieudolnie, jednak stojąca za nimi ideologia bardzo skutecznie spacyfikowała protesty społeczne. Co gorsza, konserwatywno-neoliberalnej nowomowie uległa też część środowisk emancypacyjnych. Powyższe zjawisko na przykładzie ewolucji ruchu feministycznego opisuje w swoim tekście Katarzyna Szumlewicz. W ciągu ostatnich kilkunastu lat środowiska feministyczne znacznie umocniły swoją pozycję i ich przedstawicielki pojawiają się dzisiaj również w mediach masowego przekazu. O prawach kobiet mówi się coraz częściej i głośnie. Niestety jednak część feministek uległo dominującej ideologii, wspierając neoliberalny kształt reform. W ten sposób ich przekaz stał się wewnętrznie sprzeczny – wspierają one prawa

reprodukcyjne kobiet czy rozwój łatwo dostępnych żłobków i przedszkoli, a zarazem bronią neoliberalnych rozwiązań na rynku pracy, które uderzają głównie w kobiety.

Szczegółową analizę przemian w sytuacji kobiet na rynku pracy przeprowadza Izabela Desperak. Pokazuje ona, że bezrobocie czy ubóstwo nie są neutralne względem płci. Kobiety znajdują się w trudniejszej sytuacji od mężczyzn. Ich zarobki są o wiele niższe, są one zatrudnione na mniej prestiżowych stanowiskach i w znacznie większym zakresie wykonują nieopłacaną pracę w domu. Polska polityka gospodarcza jest ślepa na kategorie płciowe i naturalizuje niższą pozycję kobiet.

Na inny obszar dyskryminacji w polskim życiu społecznym wskazuje Dorota Majka-Rostek, która opisuje sytuację mniejszości seksualnych po 1989 r. Po wejściu Polski do Unii Europejskiej coraz częściej pojawiają się postulaty walki z dyskryminacją LGBT, a parada równości co roku gromadzi tysiące ludzi. Z drugiej strony jednak trudno o optymizm. Polskie społeczeństwo wciąż jest homofobiczne, a kolejne rządy nie robią nic, aby zmienić istniejące *status quo*. Geje i lesbijki wciąż żyją w zamkniętych gettach, a wszystkie największe partie odcinają się od przyznania im praw, które mają osoby heteroseksualne.

Słabość ruchów emancypacyjnych w Polsce wiąże się z szerszym zjawiskiem, które charakteryzuje naszą rzeczywistość. Jest nim mianowicie brak silnej, socjaldemokratycznej partii, który czyni z polskiej demokracji fenomen na europejską skalę. Partią taką nie stał się Sojusz Lewicy Demokratycznej. Zwłaszcza okres, gdy partią kierował Leszek Miller, zasługuje na szczególnie krytyczną ocenę. I nie chodzi tylko o decyzje tak oczywiście błędne jak bezmyślny sojusz z bushowską Ameryką i wysłanie (wbrew prawu międzynarodowemu i polskiej Konstytucji) wojsk do Iraku. SLD nie miało swojego programu, swoich idei, było intelektualnie zależne od środowisk sobie nieprzychylnych. Najlepiej widać to po tym, jak wyglądała telewizja, w czasie, gdy rządził nią Robert Kwiatkowski. Jej lewicowość sprowadzała się do serwilizmu wobec polityków Sojuszu (choć podobny stopień serwilizmu przysługiwał członkom episkopatu), sporadycznych ataków na polityków prawicy i nostalgicznego eksploatowania audiowizualnej spuścizny PRL. Nikt z ówczesnej lewicy nie wpadł na pomysł, że skoro ma się już wpływy w telewizji, to można je wykorzystać do budowania hegemonii, umacniania lewicowych idei. Jednak w telewizji Kwiatkowskiego próżno było szukać programów o Ignacym Daszyńskim czy Róży Luksemburg, wywiadów z Chomskym, Wallersteinem czy Baudrillardem, albo przynajmniej innych ekspertów ekonomicznych od tych związanych z Centrum im. Adama Smitha. Politykę kulturalną rzekomo lewicowej telewizji wyznaczali *Cztery pancerni*, recitale peerelowskich diw i biesiadne programy Niny Terentiew. Środowiska związane z SLD nigdy nie dbały też o stworzenie lewicowych mediów i lewicowych ośrodków badawczych. To, że dziś wśród młodych ludzi roczników siedemdziesiątych i osiemdziesiątych widoczne jest intelektualne ożywienie po lewej stronie, zainteresowanie lewicowymi ideami, trzeba rozpatrywać w kategoriach cudu. To nie polska lewica polityczna nas sobie wychowała, praca formacyjna nie interesowała jej nigdy. Lewica postkomunistyczna po 1989 r. lepiej niż prawica czuła się w instytucjach, była bardziej profesjonalna, jeżeli chodzi o doraźne działania polityczne. Ale to prawica odrobiła lekcję z Gramsciego i zrozumiała, że idee mają konsekwencje, narzuciła język, w którym definiowana jest większość problemów i którym mówi także lewica. W związku z tym było tylko kwestią czasu, kiedy symboliczna przewaga prawicy zostanie przekuta na realną polityczną dominację. Dziś poza PiS i PO właściwie nie ma polityki, dwie prawicowe, poza estetyką i targetem mało różniące się partie, zdominowały całość polityki. Tymczasem środowiska emancypacyjne w Polsce są pogrążone w apatii i rozplývają się w walkach personalnych. Ewolucję polskiej lewicy po 1989 r. i przyczyny jej aktualnej słabości śledzi w swoim tekście Szymon Martys.

Konflikty polityczne ostatnich 20 lat koncentrowały się głównie wokół sporów środowiskowych. Za nimi ukrywał się głęboki konsens wobec podstaw ustrojowych, kształtu

polskiej gospodarki, wizji edukacji i służby zdrowia, relacji między państwem i kościołem, praw kobiet, gejów czy lesbijek. Niniejsza książka ma na celu przełamanie *status quo* i przedstawienie alternatyw wobec dominujących interpretacji polskiej transformacji. Krytyczna dyskusja nad kształtem dotychczasowych reform mogłaby się stać punktem wyjścia do nakreślenia bardziej sprawiedliwych i bardziej demokratycznych rozwiązań.